Nasza droga do Prawdy

Historia życia br. Marcina Mieczysława Jakubowskiego

Urodziłam się 6 stycznia 1931 r. Byłam najmłodszym dzieckiem Katarzyny i Franciszka Jakubowskich. Miałam trzech braci: Marcina Mieczysława, urodzonego 9 stycznia 1925, o 9 lat starszego Stanisława i urodzonego w 1918 r. Jana oraz siostrę Marię, która była 19 lat starsza ode mnie. Wszyscy urodziliśmy się w Zemborzycach k/Lublina. Nasza rodzina była bardzo religijna, byliśmy praktykującymi katolikami. Mieszkaliśmy w pobliżu kościoła. Mój brat Mietek – tak mówiliśmy na niego – usługiwał w kościele jako ministrant, podobnie jak wcześniej robił to nasz tato.

W czasie wojny chodziłam do szkoły podstawowej. Mietek, jako 16 letni chłopiec, uciekł z domu wraz ze swoim kolegą do partyzantki, by walczyć przeciwko nazistowskiemu wrogowi i wyzwolić Polskę. Po niedługim czasie młodzi chłopcy zorientowali się, że ta walka wiąże się z zabijaniem ludzi, a takich zamiarów oni nie mieli. Poprosili dowództwo o pozwolenie na wystąpienie z partyzantki. Nie było to jednak możliwe z powodu narażenia innych na niebezpieczeństwo zdrady lokalizacji oddziału partyzanckiego. Dowódca oddziału rozkazał wyprowadzić chłopców za las i tam ich rozstrzelać. Żołnierz, który ich odprowadzał, zrobił inaczej. Oddał dwa strzały w powietrze, a chłopcom pozwolił uciec.

Mietek po nieudanej próbie „wyzwolenia ojczyzny” wrócił do domu. Po niedługim czasie, w nocy przyszło dwóch uzbrojonych mężczyzn i zabrali mojego brata do starej szkoły w Zemborzycach, gdzie zgromadzeni byli inni zatrzymani. Całą grupę wysłali pociągiem do obozu w północnej Syberii. Tam przeżył następne 18 miesięcy swojego życia w głodzie, doświadczając niesamowitego zimna i bardzo ciężkiej pracy. Jego głównym zajęciem było kopanie masowych grobów i zakopywanie umarłych. Po zakończeniu wojny i podpisaniu deklaracji poczdamskiej, Mietek został uwolniony z obozu i wrócił do Polski tylko z kilkoma osobami, które zdołały przeżyć pobyt na Syberii.

W 1945 roku, kiedy ukończyłam szkołę podstawową, rodzice postanowili w okresie jesienno-zimowym wysłać mnie do mojej siostry Marii na naukę zawodu krawieckiego. Maria wraz z mężem Wacławem Majewskim i dwoma synami mieszkała ok. 20 km od Zemborzyc. Do Tomaszówki jeździłam pociągiem w poniedziałek rano, a w sobotę wracałam do domu. Zdarzyło się, że ze względu na duży mróz i śnieg, musiałam na niedzielę zostać u mojej siostry. W sobotę przed ową niedzielą do Tomaszówki przyjechał br. Mikołaj Grudzień. W niedzielę wszyscy udaliśmy się na zebranie w Czółnach, gdzie mieszkali br. Kozakowie, br. Paluchowie i siostra Dzięgielewska. Na zebranie przyszli też bracia: Suchora i Jan Lasek. Miałam wtedy 14 lat i po raz pierwszy byłam na zebraniu. Po raz pierwszy słyszałam wykład ze Słowa Bożego, służył br. Mikołaj. Jego słowa przemówiły do mojego serca. Ukochałam Prawdę od pierwszego usłyszenia.

Nowa nauka zaczęła zmieniać moje życie. Nie chciałam więcej chodzić do kościoła. Na podstawie nauki Słowa Bożego uznałam, że nie jestem już katoliczką. Nasz tata, ojciec katolickiej rodziny, zmuszał mnie do chodzenia do kościoła. Zdarzało się, że posłuszna swemu ojcu, zaraz po wejściu do kościoła jedną bramą, dla niepoznaki wychodziłam inną i po skończonej mszy wracałam do domu. Tata zorientował się w moich poczynaniach. Pewnego razu po moim powrocie z konwencji przygotował specjalny powróz i zaczął mnie bić. Bolało bardzo, szczególne, że było to niezasłużone. Mietek nie mógł słuchać mojego płaczu, przybiegł do mieszkania, żeby powstrzymać tatę. Chciał mnie w ten sposób ratować. Tato przestał mnie bić, ale zażądał bezwzględnego posłuszeństwa. Miałam do wyboru: uczęszczać regularnie do kościoła albo wyprowadzić się z domu. Wybrałam opuszczenie rodzinnego domu. Pojechałam na kolejną konwencję, było to w Tuszowie u br. Lasków. Tam opowiedziałam braciom o zajściu w moim domu. Braterstwo Wójciakowie z Nałęczowa przyjęli mnie do swojego domu. Byłam u nich chyba dwa tygodnie. Mieli dwie córki, ja bardzo zaprzyjaźniłam się z młodszą, Stanisławą. Nasza przyjaźń trwa do dzisiaj.

Mietek najpierw bronił mnie przed ojcem, później nie mógł zrozumieć, dlaczego porzuciłam rodzinny dom, dlaczego moja nowa religia stała się ważniejsza od rodziców i całej rodziny. Miałam wtedy 14 lat i starszy o 6 lat brat chciał koniecznie dowiedzieć się prawdy. Odnalazł mnie u Wójciaków i był zdziwiony, że „obcy ludzie” przyjęli mnie do siebie. Rozpoczęły się rozmowy, długie rozmowy. Stasia i Henia skierowały nas do zboru w Lublinie, za bramą, na Starym Mieście. Tam zapoznaliśmy siostry z Rynku i razem z Mietkiem zaczęliśmy uczęszczać na nabożeństwa. Jeździliśmy także na konwencje. Tak było przez cały 1946 rok, aż do jesieni 1947 roku. Wówczas podjęliśmy ważną decyzję, postanowiliśmy poświęcić się Bogu na służbę. Ja miałam wtedy 16 lat, Mietek 22. Uroczystość odbyła się 12 września 1947 roku w rzece Czerniejówce, w centrum Lublina, obok Zamku, w obecności kilku osób. W rzece zanurzał br. Henryk Grudzień. Pamiętam, jak

później nasz starszy brat, Stanisław, zapytał: „No to wykąpałaś się?”. Zrobiło mi się przykro. Od tej pory coś jednak zaczęło się dziać w naszym domu. Najpierw wrogie spojrzenia sąsiadów – do tej pory cała rodzina Jakubowskich była wiernymi katolikami. Na wsi coraz częściej mówiono o naszych przekonaniach, a Mietka zaczęto nazywać biskupem. Tego nie mógł zaakceptować lokalny ksiądz, który był zwykłym proboszczem. Rozpoczęła się walka z naszą rodziną. Była to trudna walka, bo ksiądz miał do dyspozycji kościelną ambonę. To pomogło nam w głoszeniu Prawdy. Rozpoczęliśmy od własnej rodziny. Po kilku miesiącach symbol chrztu przyjął nasz brat Stanisław, nieco później jego żona Todzia. Podobnie było z naszym najstarszym bratem Jankiem i jego żoną Olesią. Tylko nasi rodzice pozostawali nadal w kościele. Ogniste kazania księdza uaktywniły okoliczne bandy, które zaczęły nachodzić naszą rodzinę w poszukiwaniu Mietka.

Bandyci, szukając „biskupa”, kilka razy przychodzili z karabinami, otaczali dom i zastraszali naszą rodzinę. Mietkowi, dzięki opatrzności Bożej, udawało się uniknąć pojmania, wówczas bandyci wyładowywali swoją złość, bijąc obecnych w domu. Pamiętam zajście we wrześniu 1948 roku. Było to podczas kopania ziemniaków w domu naszego brata Janka. Wieczorem po pracy mieliśmy zwyczaj śpiewać pieśni. Nagle rozległo się stukanie do drzwi. Janek poszedł otworzyć. Na progu został zaatakowany przez uzbrojonych mężczyzn. Padł strzał. Kula przeszyła dłoń, było dużo krwi. Mężczyzna z impetem wpadł do pomieszczenia. W domu była dwójka malutkich dzieci, ich mama i babcia. Do pomocy przy kopaniu ziemniaków przyjechał syn naszej siostry Marysi Majewskiej. Adolek miał wtedy 18 lat. Został bardzo mocno pobity przez uzbrojonych. Oni szukali Mietka. W gniewie przewracali meble, rozbijali naczynia i niszczyli wszystko, co zobaczyli. Na koniec rozkazali powiesić obrazy na ścianach i oświadczyli, że następnym razem to sprawdzą.

Od tej pory z niepokojem czekaliśmy każdego wieczoru. Dwa tygodnie później bandyci otoczyli tym razem nasz rodzinny dom. Przy każdym oknie stał uzbrojony mężczyzna. Jedno okno, zarośnięte krzewami, nie było obstawione, bo prawdopodobnie nie zostało zauważone przez napastników. Jednocześnie usłyszałam szarpanie drzwi i zobaczyłam długą lufę karabinu rozbijającego okienną szybę. Mietek zapytał: „Co mam robić?”. Chwila wahania… „Uciekaj” – odpowiedziałam. Mietek otworzył okno i poprzez zarośla dotarł między zabudowania sąsiadów. Mężczyzna, krzycząc „Gdzie biskup?”, uderzył mnie w twarz. Rozpłakałam się. „Nie ma” – powiedziałam zgodnie z prawdą. Wtedy, w przypływie gniewu, rozpoczęło się demolowanie całego domu. W sąsiednim pomieszczeniu, gdzie mieszkał mój brat Stanisław, była tylko jego żona z dwójką małych, przestraszonych dzieci. Bandyci zaczekali na tatę, który wieczorem wracał z pola i kiedy wszedł do domu, został bardzo mocno pobity. Tymczasem Mietek z ogrodu sąsiadów obserwował całe zajście. Aby skrócić cierpienia własnej rodziny, w pewnym momencie zaczął głośno wołać o pomoc. Wówczas bandyci ruszyli w pościg za nim. Mietek uciekał, kluczył po różnych miejscach, wreszcie na dworcu PKP trafił na pociąg towarowy. Wskoczył na wagon. Mężczyźni rozpoczęli ostrzał wagonów. Oddali pond 30 strzałów. Pociąg ruszył, a w jednym z wagonów odjechał nasz brat. Pan ochraniał jego życie i żadna kula nie trafiła w niego.

Ostatni raz bandyci przyszli do gospodarstwa Jakubowskich 25 czerwca 1949 roku, gdy w Zemborzycach odbywała się konwencja w domu naszego brata Jana. Otoczyli zabudowania, w których już wszyscy spali. Od serii z karabinu zginął brat Mikołaj Grudzień i dwie siostry, a 10 osób zostało rannych. To były straszne wydarzenia. Wszystko rozpoczęło się w kościele, poprzez mowę nienawiści.

Sześć miesięcy po tych wydarzeniach, pod koniec 1949 roku, zmarła nasza mama. Dramaturgia ostatnich doświadczeń, jakie przyszły na naszą rodzinę, sprawiła, że tato inaczej zaczął patrzeć na Prawdę. Uznał, że pobicie przez bandytów było znakiem od Pana, było karą za pobicie i wygnanie mnie z domu przed trzema laty. Po pewnym czasie on również zaczął uczęszczać na nabożeństwa w lubelskim zborze i poświęcił się, jako ostatni członek naszej rodziny. Wszyscy, poza naszą siostrą, byliśmy członkami zboru w Lublinie.

Mietek aktywnie uczestniczył w życiu zboru. W latach 60. brał udział w pracy przy wydawaniu tzw. przedruków lubelskich. Artykuły były przepisywane na maszynie, a następnie powielane na ręcznym powielaczu. Tak przygotowane materiały były rozsyłane pocztą do odbiorców. W tym czasie siostry z Rynku utrzymywały korespondencję z niemal całym światem: Ukraina, Francja, USA, Kanada, Australia. Mój brat znał myśli i poglądy wielu braci. Mieliśmy zebrania w niedziele rano i czasami jeszcze po południu oraz wieczorem we wtorki, środy, czwartki i piątki. Mietek uczestniczył chyba we wszystkich. Po jakimś czasie zaczął pełnić funkcję starszego zboru. Podobnie jak kilka innych osób, rozdawał ulotki na cmentarzu. Słowo Boże głosił cały czas.

Ja założyłam swoją rodzinę. Mietek mieszkał z tatą w Zemborzycach. Do Lublina jeździliśmy pociągiem. Po śmierci taty brat został sam. Dwa razy był w Stanach Zjednoczonych. Teraz, kiedy mieszkał w Jaśle, każdego roku 12 września przesyłał do mnie kartkę z życzeniami. W tym roku też otrzymałam kartkę, z okazji 70. rocznicy naszego wspólnego poświęcenia. Wiem, że nawet w swoim podeszłym wieku był dosyć aktywny, do końca prowadził zebrania, ostatnie w przeddzień swojej śmierci. W dniu 2 października 2017 r. rozmawiałam telefonicznie z moim bratem. Rozmawialiśmy dłu-

go. Mówił o trudnościach i swojej chorobie. Powiedział, że teraz czuje się lepiej. Wieczorem mój brat, w wieku 92 lat, zakończył swoją długą, ziemską pielgrzymkę. Z całego rodzeństwa Jakubowskich zostałam tylko ja.

„Błogosławieni są odtąd umarli, którzy w Panu umierają. Zaprawdę, mówi Duch, odpoczną po pracach swoich; uczynki ich bowiem idą za nimi” – Obj. św. Jana 14:13.

Redakcja
R-
„Straż”

Opowiadała Zofia Kozak